

Księga wyjścia – 32

14 października 2019

Ballada o polskiej dolce vita

Gdy dotarłem do Lyonu, Marek który mnie tam zaprosił, z miejsca zaczął oprowadzać po mieście. Detale opiszę przy okazji, bo czas wyborczy i chciałbym skupić się na tym co według mnie ważne. Dlatego nie odniosę się nawet do nudnej debaty zorganizowanej przez TVN24. Wracając do mojej wizyty we Francji, nie mogę się oprzeć, by nie napisać o tym jak bardzo zaskoczyła mnie ogromna ilość księgarni. Prawie w każdym kiosku czy małym sklepiku był wydzielony fragment dla książek.



Spacerując po mieście i zagłębiając się w jego zakamarki rozmawialiśmy nie tylko o architekturze, ale przede wszystkim o polityce. W zasadzie głównie to Marek mówił, a ja z zaciekawieniem słuchałem. Oprócz historii miasta, opowiadał mi o sposobie sprawowania urzędu przez Emmanuela Macrona, od kampanii, aż po prezydenturę. Niezależnie czy jest jego zwolennikiem czy nie – tak naprawdę tego nie wiem, niektóre pomysły chwalił do innych podchodził sceptycznie, a czasami nie pozostawiał na nim suchej nitki. Nie pytałem wprost, bo

nie wydawało mi się to wtedy istotne. Ważniejsze były wnioski, jego opinia i moja ciekawość miasta i francuskiej polityki, której prostota wydała mi się genialna.

Szczególnie zainteresowało mnie w jaki sposób prezydent Francji radzi sobie z bieżącą polityką. A konkretnie z problemami. Gdy pojawia się jakiś, to po prostu zwraca się do wszystkich i mówi: spróbujmy wspólnie to rozwiązać. I rozwiązują. Fakt, było to przed protestem „żółtych kamizelek”, ale nie zmienia to zapamiętanej przez mnie prostej zasady. Może Macron zapomniał. Kolejnym zaskoczeniem było jak spokojnie o tym opowiadał. Bez politycznych emocji, podnoszenia głosu, tylko gdzieś pomiędzy opowiadaniem o mijanek kamienicy czy jakimś daniu, wtrącał wątek polityczny. Wchodziliśmy do restauracji, dowiadywałem się, że ten sposób stawiania stolików nazywa się „korek lyoński”, by za chwilę usłyszeć o wolontariuszach, którzy przed wyborami pukali od drzwi do drzwi i wypytywali ludzi o ich problemy. Gdy mówił o kaszance, za chwilę dowiedziałem się w jaki sposób zatrzymał ludzi w wioskach i małych miasteczkach, ludzi którzy wcześniej masowo emigrowali do dużych miast szukając tam pracy.

Wystarczyło wywrzeć nacisk na operatorów, by okablowali całą Francję i wszyscy ci, którzy pracują zdalnie zostali w swoich wioskach. Chyba naprawdę się rozmarzyłem, a tu trzeba zejść na ziemię. Podczas przełomu ustrojowego w Polsce coś poszło nie tak. Przynajmniej nie tak, jak ludzie sobie to wyobrażali. Kolejne rządy zamiast spróbować rozwiązać nabrzmiewające jak ropień problemy, i zapobiec nadchodzącej katastrofie, zajęli się tworzeniem nowych elit finansowych i kuriozalnych etosów ze zmianą historii włącznie. Zajęci i zacietrizewieni posłowie mieli gdzieś społeczeństwo i z bigoteryjną wiarą w „niewidzialną rękę rynku”, zajęli się zwalczaniem rywali i realizacją własnych ambicji. Często przerastających ich wrodzone predyspozycje. Dzika prywatyzacja ogarnęła kraj, spory ograniczały się do walki o posady, kłótni o krzyże w szkołach, urzędach, konkordat, wypominaniem

przeszłości czy tworzeniem nowej klasy społecznej – milionerów, kosztem całej reszty społeczeństwa. Z powierzchni ziemi zniknęła w całości jedna grupa społeczna jaką byli chłoporobotnicy, mieszkańcy popegeerowskich osad.

Fajnie było pośmiać się z bohaterów filmu „Arizona”, ale to właśnie demokratycznie wybrani przedstawiciele zrobili z normalnych ludzi systemowych inwalidów i obiekt kpin „zdrowej klasy średniej”. Ci ludzie niejednokrotnie spędzali osiem godzin w pracy, by potem jeszcze uprawiać własne pola czy zajmować się hodowlą. Mało kto tak tyrał jak oni. Po przełomie przestali być potrzebni i nowy system podobnie jak zrzucona z samolotu „enola gay” na Hiroszimę bomba atomowa o wdzięcznej nazwie „little boy”, zmiotł ich z powierzchni ziemi. Żeby jakoś to wyglądało, to posłowie zaczęli tworzyć nowe ustawy. Jeśli komuś podczas golenia strzeliło coś do głowy, natychmiast robił z tego projekt. Przedstawiał znudzonym posłom na komisji, którzy specjalnie się na tym nie znając i mając inne problemy na głowie, rekomendowali ją sejmowi. A że nikt się specjalnie na tym nie znał, to ustawa przechodziła wszystkie kolejne czytania.

Na zakończenie znudzeni i przysypiający na prawie pustej sali plenarnej członkowie parlamentu, bezrefleksyjnie głosowali za lub jeśli im się nacisnęło, to przeciw, a niekiedy i za sąsiada. Chyba, że spór dotyczył interesów kościoła, aborcji lub nowych bohaterów. Wtedy była pełna frekwencja i zagorzała walka o mównicę. Poza tym dokładali kolejne ustawy, poprawki, nowele i przepisy do tych już istniejących tworząc ogromną ilość zbędnych papierów, których treść każdy interpretował jak chciał, czyli „Paragraf 22”. Ponieważ jednak sami nie mieli pojęcia ani kompetencji powstawały one niejako „same”, a urzędnik gdy miał dobry humor zinterpretował na korzyść, a jeśli zły to odwrotnie i wtedy petent miał przechlapane. Mam na myśli te dotyczące zwykłego człowieka. Bo z przepisami odnoszącymi się do wybranych grup interesów, wyglądało to zupełnie inaczej.

Według Witolda Modzelewskiego prawo bankowe sami sobie napisali bankierzy, tak było ze wszystkimi, istotnymi dla najróżniejszych grup wpływu ustawami. Jedynie ludowcy zawsze mieli swoją reprezentację, która też różnie funkcjonowała głównie jako koalicjant, ale jednak ktoś tam ich interesów pilnował. Nie było to idealne, ale zawsze. Resztę pisali albo sami zainteresowani, albo ich lobbyści. Oprócz bezdomnych i najbiedniejszych.

Politycy co najwyżej mogli tworzyć jakieś pozorowane działania osłonowe, z których nic nie wynikało, ale sankcjonowało ich obecność w parlamencie. Przez lata trwała ta dziwna gra pozorów, tworzenia niepotrzebnych nowelizacji i poprawek do poprawek, istniejących już przepisów, albo niepotrzebnych, a kosztownych reform. To zaskakujące, że Jerzy Buzek wciąż jest z nich dumny.

Ale wracając do ustaw. Przypomina to trochę nieopróżniony śmietnik, do którego ciągle się coś dokłada. To nic, że z niego cuchnie i miejsca już brak, ważniejsze są rozgrywki personalne i ukrycie tego smrodu, krzykiem, oskarżeniami można maskować brak pomysłów. Można zwalić na poprzedników moralnie wątpliwe zapisy. A w sytuacjach ekstremalnych nie odpowiadać na zadawane pytania. To, że podczas kampanii opowiadają co robią, o niczym nie świadczy, bo po wyborach nie robią nic. Oczywiście najlepiej byłoby wszystko zresetować i zbudować kraj od nowa. Dokładnie jak po wojnie. Ale jeśli jest to jeszcze niemożliwe, to trzeba skupić się na tym co jest naprawdę ważne.

Należy przede wszystkim zadać sobie pytanie: co jest najważniejsze? I chociaż mój głos i tak utonie, to podpowiem przyszłym pośłom jak w trzech krokach rozwiązać wszystkie nasze wspólne problemy. „I have a dream” chciałbym powiedzieć za Martinem L. Kingiem, ale obawiam się, że ten mój prywatny „dream” na zawsze pozostanie jedynie niezauważonym, sennym marzeniem.

Skupiłbym się na lekko zmodyfikowanej piramidzie Masłowa. Tym, którzy nie wiedzą wyjaśnię czym jest ten stożek. Masłow w formie schodkowej piramidy rozrysował kolejność niezbędnych do życia potrzeb. Na samym dole znajdują się potrzeby fizjologiczne, czyli wszystko co jest niezbędne do życia w sensie biologicznym: jedzenie, spanie, ubranie itp, wyżej jest potrzeba bezpieczeństwa. Nie chodzi jednak o wojsko i zbrojenia, a tym bardziej o ten dziwny twór jakim są Wojska Obrony Terytorialnej, ale bezpieczeństwo ekonomiczne, medyczne, spokój o przyszłość i przewidywalność jutra, bezpieczeństwo na ulicy i wszystko co umożliwi spokojny sen, bez lęku o przyszłość czy obawa jakiejś „czarnej godziny”. To także bezpieczeństwo wyrażania własnych poglądów, wolność słowa. Podobno jest, ale czy geje starający się o pracę, podczas rozmowy kwalifikacyjnej z prezesem o którym wie, że jest homofobem nie będzie ukrywał kim tak naprawdę jest? Czy teraz pracownicy państwowych spółek i przedsiębiorstw nie muszą udawać głęboko wierzących? Gdzie tu wolność słowa? Każda próba sprzeciwu wiąże się z dyscyplinarką, sprzeciwu religijnego, bo wystarczy zadrzeć z przełożonym, by już coś wymyślił, dał niewykonalne zadanie i wywalił z roboty za niewykonanie polecenia.

Kolejny szczebel będzie już ode mnie, bo o tym akurat Masłow zapomniał. Potrzeb tolerancji. Niezależnie kim jesteśmy, jak wyglądamy i jakie są nasze poglądy, to musimy mieć pewność, że zostaną one zaakceptowane i nikt nie będzie wtrącał się w nasze prywatne życie. Ani żadna instytucja, ani wredny sąsiad homofob, ksenofob, sąsiadofob etc.

Trzy pozostałe szczeble powinny pozostać w indywidualnej gestii obywateli. Tu rola polityków się kończy. Każdy według własnych potrzeb sam sobie może je realizować. Lub nie, jeśli nie chce. Ambicja nie jest obowiązkowa. Te indywidualne szczeble to potrzeba przynależności – najczęściej do jakiejś grupy (partia polityczna, religia, koło wędkarskie itp.). Uznania, a raczej potrzeba podziwu – czyli najczęściej poprzez

bogactwo, albo osiągnięcia np. sportowe. No i wreszcie samorealizacji – to dla tych najbardziej ambitnych.

Mój prywatny „I have a dream” wyglądał tak, że grupa fachowców siada przed ogromną tablicą z rozrysowanymi trzema podstawowymi szczeblami i po burzy mózgów, zakasując rękawy, kolejno zaczynają pracować nad rozwiązaniem tych trzech podstawowych problemów. Punkt, po punkcie. Jeśli prawo bankowe napisali bankowcy, to czy może być ono korzystne dla zwykłego człowieka? Oczywiście, że nie. A to tylko jeden setek, tysięcy przykładów.

Czy ludzie, których wybierzemy będą umieli ochronić nas przed takimi właśnie praktykami? Czy słynne sejmowe zasłony mogłyby dotyczyć jedynie lobbystów, nie zaś dziennikarzy? Gdy przysmykam oczy i przypominam sobie kto zasiada w sejmie i czy byłby w stanie zablokować szkodliwą społecznie ustawę (Żalek, Suski, Waszczykowski, Brudziński, Błaszczak, Jurgiel, Szyszko...), to dochodzę do wniosku, że nie. I zamiast sennego marzenia, po wewnętrznej stronie czaszki pojawia się ogromne graffiti z ponuro ociekającym napisem: „NO FUTURE”.

Była kiedyś w Polsce Ludowej bardzo szeroko propagowana akcja pod nazwą: „niewidzialna ręka, to także ty”. Polegało to na tym, by anonimowo pomóc w czymś komuś, zostawiając jedynie ślad odcisniętej dłoni. W wakacje narąbać drewna staruszce, naprawić zepsuty rower komuś, kto akurat tego nie potrafił. Była to akcja dobrowolna, a jakże miła. Nie ma już tamtej, skierowanej do zwykłego człowieka „niewidzialnej ręki”, zastąpiła ją niewidzialna ręka rynku, której cel jest odwrotny. Poprzez udawanie bezinteresownej pomocy wpłatać człowieka w spiralę zadłużenia, i udając pomoc, pogrążyć go w tym bagnie, aż straci mieszkania, bez zostawiania śladu.

Raz jeszcze poszedłem na wybory chociaż wiem, że głosowanie się nie sprawdza. Potem zacząłem rozmyślać jak zamienić niewidzialną rękę w jak najbardziej widoczną pięść.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info